

Co to więc znaczy, że przyjaźń się przydarza? Zaczniemy od kolejnego hołdu dla wieloznaczności rodzimej tradycji językowej, która pozwala nam zagłębić się w wieloznaczność słowa „przydarzyć”. Chociaż często skłonni jesteśmy nakładać jego znaczenie na „wydarzyć się” i rozumieć je jako opis ciągu pewnych faktów (zdarzeń), to jednak widać, że w tym pierwszym sformułowaniu wyraźnie wybrzmiewa pojęcie daru. Oczywiście jest to ten sam człon, który występuje w słowach „wydarzenie” czy „zdarzenie”, o czym z pewnością mogliby pouczyć nas kompetentni językoznawcy, jednak pozwólmymy sobie tutaj na odrobinę etymologicznej fantazji, do której filozofowie mają od wieków nadmierną skłonność i która, jakkolwiek często jest bezpodstawna merytorycznie, to jednak bywa zbawienna i pozostaje nieustająco inspirująca.

Oto więc stawiamy przed sobą „dar” przyjaźni. Musimy zachować czujność, i to z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że sformułowanie „dar przyjaźni” sytuuje nas niebezpiecznie blisko jakiegoś trywialnego aforyzmu czy nawet koelii. Po wtóre dlatego, że pojęcie daru ma swoje mocno już ugruntowane i często rozbudowane socjologiczne<sup>39</sup>, filozoficzne i teologiczne konteksty<sup>40</sup>. Poprzestańmy zatem na prostej konstatacji, że dar, jeśli rozumieć go w postaci czystej, nie jest zapłatą ani ceną; w tym sensie jest czymś przygodnym, co się niespodziewanie p r z y d a r z a. Jeśli jest czymś na kształt aktu łaski, to nie można go w y p r a c o w a ć, w sensie ścisłym pewnie także nie można na niego z a s ł u ż y ć (rzecz oczywista, otwiera się tu przed nami szeroka ścieżka refleksji nad łaską w teologii chrześcijańskiej, z którym to problemem

---

<sup>39</sup> Zob. M. M a u s s, *Szkic o darze. Forma i podstawa wymiany w społecznościach archaicznych*, tłum. K. Pomian, w: tenże, *Socjologia i antropologia*, Wydawnictwo KR, Warszawa 2001, s. 165-306; M. G o d e l i e r, *Zagadka daru*, tłum. M. Höffner, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2010.

<sup>40</sup> Zob. U. I d z i a k, *Dar. Spór między Jeanem-Lukiem Marionem a Jacques'em Derridą*, Wydawnictwo A, Kraków 2009.

nie nam się mierzyć). Tak rozumiany dar można przyjąć lub odrzucić – wydaje się, że to jedyne pole autonomii obdarowywanego.

Jak przenieść ową „darność” czy „przydarność” na przyjaźń? Otóż jej przygodność polega na tym, iż jest niekonieczna w tym znaczeniu, że nie mam wpływu na bycie nią obdarowanym. Albo ten dar napotykam i przyjmuję (lub niekiedy odrzucam), albo też, jeśli jestem stroną aktywną, „wyciągam rękę” z darem jakiegoś załączka przyjaźni ku drugiemu. Nie da się jednak tej relacji w żadan sposób „zadać” (czyli powiązać w ścisłą relację przyczynowo-skutkową), „zaplanować”, nie można „zainwestować” jakichś towarzyskich „aktywów” i uzyskać „dywidendy z pełną stopą zwrotu” w postaci przyjaźni ze strony drugiego człowieka.

Przyjaźni nie można też „zadekretować” czy „skwitować” ex post, nie można wytyczyć punktu, w którym się już jasno uobecniła. Jesteśmy pozbawieni wygody posiadania czytelnego kryterium pozwalającego jednoznacznie określić kogoś mianem przyjaciela, chyba że zadowolony nas kryterium negatywne – na przykład zdrada przyjaźni – i przez kategorię braku uchwycimy przyjaźń w utracie. Nie istnieją też żadne dekretujące akty założycielskie przyjaźni czy rytuały stanowiące swoiste przypieczętowanie owego fiat – „niech się stanie”. Można przy pewnych założeniach przyjąć, że akt zawarcia małżeństwa jest swoistym dekretem miłości erotycznej – oczywiście nie w tym sensie, że ją implikuje, ale rytualnie „kwituje”. W nieco innym wymiarze, być może czysto symbolicznym, moment narodzin może być podobnym „kwitującym” otwarciem dla miłości matczynej czy rodzicielskiej. W przyjaźni brak jest takich aktów i nie wytycza się w niej tak ostrych granic; chyba że zechcemy serio traktować chłopięce rytuały „braterstwa krwi”, zapożyczane z powieści o Indianach, czy dziewczęce zaklęcia o „przyjaciółce od serca”, wypisywane w pamiętnikach i sekretnych dzienniczkach. To jednak dość ryzykowne posunięcie – pamiętamy przecież jak łatwo grobem tych dziecięcych „przyjaźni na wieki” stawały się różne prozaiczne przyczyny: kłótnia o błahostkę, przeprowadzka czy zmiana szkoły.

Przygodność przyjaźni to przede wszystkim jej mglista niepewność w momencie kształtowania się, w niejasnym procesie wyłaniania się przyjaciela z tła zwykłych znajomych. Wydaje się jednak, że owa niepewność nie znika i później. Intensywność trwania w przyjaźni różni się od gęstości relacji w miłości; przyjaźń dopuszcza dłuższe interwały czasowe między obcowaniem, nie wymaga nieustannego podsycania. Taka sama mglistość osnuwa zbliżanie się do kresu przyjaźni, który następuje wskutek upływu czasu, przez nasze zaniedbanie, ugrzęźnięcie w codziennej krzątaninie. Granica jest nieostra, chyba że śmierć przyjaźni dokonuje się przez akt jej pogrzebania, jakąś zdradę, urazę czy inny rodzaj radykalanego zerwania. Świadomość utraty stopniowo zapomnianego, odsuwającego się przyjaciela pojawia się późno, wymaga czasu

i dystansu. Wyraża to pełna nostalgii uwaga Antoine'a de Saint-Exupéry'ego: „A koledzy? Życie odsuwa nas może od nich, nie pozwala nam wiele myśleć o nich, ale gdzieś są – nie wiemy nawet dobrze gdzie – milczący lub zapomniani, ale jakże wierni! I jeśli znajdziemy się na ich drodze, potrząsają nas za ramiona z wybuchami radości! [...] Lecz uświadamiamy sobie powoli, że nie usłyszymy już nigdy dźwięcznego śmiechu tego lub innego z kolegów, uświadamiamy sobie, że ten ogród został nam na zawsze zakazany”.

Możemy zatem uznać, że przygodność rozumiana jako niepewność jest wpisana głęboko w samą istotę przyjaźni, nawet jeśli kłóci się to z naszą wyidealizowaną figurą przyjaciela, z przeświadczeniem, że – by zasłużyć na to miano – musi on bezwzględnie wpisywać się w formułę *semper fidelis*: zawsze wiernego, spolegliwego druha. Idziemy tu zatem pod prąd rozpoznań Michela de Montaigne'a, który przestrzega nas, byśmy przyjaźni prawdziwej nie mieszały z jej pospolitymi odmianami ani ich reguł z ideałem. Ale to właśnie słowa autora *Prób*, który radzi, by poruszać się w badaniu owych „innych”, ostatnich przyjaźni „z wodzą w rękę, ostrożnie i z rozwagą”, ponieważ „węzeł nie jest zadzierzgnięty tak mocno, aby mu można było najzupełniej zaufać”, zdają się trafiać w sedno niedającej się znieść, a przez to kluczowej dla istoty przyjaźni *n i e p e w n o ś c i*. Przyjaźń bowiem nie jest nigdy dana tu oto, należy przez to – jak twierdzi Jacques Derrida – do „doświadczenia czekania, obietnicy, zobowiązania”, a najwłaściwsza dlań forma narracji, to „dyskurs modlitwy”.